

Stalowoszary zmierzch na rubieżach Laponii. W oberży ćwierć-Skandynaw w towarzystwie zgrai pseudowikingów rzucił w euforii: "Skarb tuż-tuż, więc na razie nie mórzmyż się głodem, bom nienażarty!". Toteż w okamgnieniu spożyli gulasz z parzonymi jarzynami. Naraz chimeryczny, hardy tubylec krzyknął: "Toż to hulaki!". Z naprzeciwka jego kompani spode łba spojerali na obskurnych nietutejszych, jakby rozważając, jak by ich przepędzić. Na pewno doszłoby do handryczenia się, lecz z nagła umknęli hurkoczącym hyundaiem wzdłuż rzeczutki, przez gęsto rosnące, prawie że dojrzałe jeżyny. Zatrzymawszy się w pół drogi, półkłęczeli w półmroku nad ćwierćkilometrową otchłanią. Czyżby szlak donikąd? Chuderlawy hipochondryk o wyglądzie chartaomalże nie zemdłał. Herszt ukoił go słowami: "Bez hysterii, zapewne niezadługo będziemy multimilionerami!". Tymczasem z oddali raz po raz słyhać było szybkostrzelną trójlufkę, rżężenie, charkot. Twarz przywódcy tej kompanii zszarzała. "Niechżeż szceznię, jeśli to nie tabun angloarabów. Czyha niebezpieczeństwo!" - wrzasnął Lapończyk. Wszyscy, przerażeni nie na żarty, wrzeszcząc wniebogłosy, czmychnęli. Znienacka wychynęła służba Interpolu. Głównodowodzący huknął: "Skuć ich!". Nasz bohater w potężnej chandrze jęknął półgębkiem: "Hart ducha nadaremny, trud poszedł wniwecz, na darmo".